№ 7.

Warszawa dnia 3/15 Lutego — Rok 1868.



w Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, **na prowincji i w Cesarstwie** *półrocznie w Kopertach* rs. 4 kop. 75. Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych. *W opaskach* przesyłając należytość wprost do Redakcji Rs. 3 kop. 75. Redakcja w Warszawie przy Ulicy Żabiéj Nr. 956 u Jana Kantego Gregorowicza.

MACOCHA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

— Och Lucjanie! Lucku mój drogi! Gdzie niema błogosławionéj woli matki, tam niéma i szczęścia!... A czyliż myślisz, że i mąż mój zezwoli, ażeby córka jego narzuconą tylko była synową? Za wiele ma dumy szlachetnéj, by takie znieść upokorzenie!

— Rzucę się do stóp jego! Przecież on pragnie szczęścia swojego dziecka!...

— Lecz upokorzenia nie zniesie. I nie zechce, by dzieckiem jego pogardzono.

— Nigdy! — zawołał młodzian rozpaczliwie.

— Poczekaj rok jeden! Pół roku! Poczekaj i wytrwaj!... Chodź, pokażę ci listy matki — zwrócili się ku dworowi— Zaprzestań wszelkich na teraz... słów słodkich... i mowy oczów!... Oszczędź biedne dziewczę! Oszczędź spokój jéj serca!... Najwięcéj niebezpieczném bywa dla kobiety, gdy pozna, że jest kochaną!... A łudzenie się pozyskaniem serca drugiego, już niejedną biedną istotę do grobu zepchnęło.

— O mój Boże! — zawołał Lucjan ze łzami w głosie, i przystanął — za cóż mnie masz dobra, kochana kuzynko? Jakież podejrzenie okropne, że ją łudzę tylko!

— Nie, nie, Lucjanie! Uchowaj Boże, bym ciebie o coś nieszlachetnego podejrzywać miała!... Wspomniałam tylko, jak smutne bywają niekiedy następstwa. Ale chodźmy! — szli daléj w milczeniu.

Lucjan smutno zwiesił głowę.

Przybywszy do swojego pokoju, Zofja podała mu listy pani Borzywojskiéj. Czytając je chciwie, to bladł, to płonął naprzemian.

— Jakież dzikie plany? — zawołał, zwracając jéj welinowe arkuszyki — matka widocznie chce frymarczyć mojem sercem..

— Cicho, Lucjanie, na miłość Boga! — złożyła przed nim błagalnie dłonie — to jest matka twoja!

— O! zawołał, rzucając się na krzesło — kocham matkę... ale w takim razie, poszedłbym wbrew woli: rodzice nie mają prawa skazywać dziecko na cierpienia i nieszczęście!

— Lucjanie! — położyła rękę na ramieniu jego—matka kocha ciebie i tylko szczęścia twojego pragnie!... Nie przełamuj bezwzględnie jéj woli, a zrobi się wszystko!... Zostaw to czasowi! Żadnéj nie wywołuj walki!... Matka twoja jest gwałtowną, samoistną, samowolną... Wywołałbyś smutne następstwa, i Felicja dla ciebie straconą by była!

— To i cóż mam począć? — niecierpliwie uderzył się w czoło.

— Wysłuchaj mnie spokojnie. Przedewszystkiem winieneś wszystko w zawieszeniu zostawić. Winieneś zrzec się na teraz wszelkiego do Felicji zbliżenia. Zaprzestań bywać w Zieminie i jedź do Drezna!

— A przez ten czas uprzedzi mnie inny! — zawołał z goryczą.

— Nie lękaj się tego: jeżeli ciebie kocha, to i wierną pozostanie tobie. A gdyby wybrała innego, miałbyś tylko smutny dowód, ze ciebie nie kochała.

Lucjan twarz ukrył w dłoniach.

— Pół roku niechaj próbę stanowi dla was. Lucjanie, jesteś młodym... tamta, którą ci matka przeznacza, może zatrzéć obraz Felicji...

— Nigdy! nigdy! — zawołał niecierpliwie.

— Jest piękniejszą pewnie.

— Nie może być piękniejszą... I dla mnie żadnéj innéj niemasz piękności!

— Jest świetniejszą, wychowaną w Paryżu...

— Nienawidzę! świetność i Paryż, wolę skromne wychowanie w Z eminie. Dla mnie jedna tylko Felicja jest na świecie.

— Tak mówili, zarzekali się i ci, którzy zmienili się następnie: nikt za własne serce ręczyć nie może.

— Och kuzynko najdroższa! To są straszliwe wyrazy! zawołał rozpaczliwie młody — kochana pani posadzasz mnie o płochość... O zechciéj mi wierzyć, że bez Felicji, świat pustkowiem jest dla mnie.

— To więc wytrwaj! A zarazem i w niczem nie narażaj się matce. Jedź do Drezna... O Felicji nic nie mów matce, dopóki ja z nią nie pomówię. W Maju do Radlina powróci... Powiesz jéj, że tamta do twojego nie przemawia serca, a matka nie będzie cię przymuszać. Szanuj tylko Felicji spokój! —i znowu błagalnie przed nim złożyła dłonie.—Przemówiłeś do jéj serca... niechaj to nateraz dość będzie dla ciebie. Zostaw ją w spokoju! Usuń się! Zaklinam ciebie na szczęście twoje! Na honor! Na twój honor, Lucjanie! Na szczęście Felicji!

— Srogie to żądanie!

— Ale uznasz, że słuszne.

— Chciałem pewny jéj uczucia do Drezna pojechać.

— Przez miłosierdzie Boże, Lucjanie, nie czyń nic bez rozwagi! Miéj na względzie tę ukochaną istotę! Powtarzam: złamałaby ją przeciwność wszelka! Walka twoja z matką, wystąpienie jéj ojca, zranionego w dumie swojéj... zabiłoby biedną! Uczyń na teraz ofiarę z zamysłów swoich! Pozostaw wszystko do pomyślniejszéj chwili!... Dopóki ja z twoją nie pomówię matką!

Lucjan uległ nareszcie tym prośbom i przedstawieniom rozsądnym: przyrzekł być ostrożnym w obec Felicji ważyć słówko każde i spojrzenie — odjechać nazajutrz i niebyć tak prędko znowu w Zieminie. Na to wszystko dał słowo i rękę pani Wszemborskiéj. — Zawierzyła mu.

— Ale pani pozwolisz pisywać do siebie! — błagał — i odpiszesz mi zawsze! Nie zniósłbym życia bez wiadomości o niéj.

— Pisuj do mnie, a odpowiem ci — uśmiechnęła się Zofja z wyrazem nieokreślonéj dobroci.

Lucjan z wdzięcznem uczuciem ręce jéj do ust przycisnął.

Gdy następnie zeszedł się z pannami w salonie, rozmawiał z niemi, był wesół, ale jednak jakiś rzewny wyraz w jego jawił się oku. Unikał zbliżenia do Felicji i nie przysiadał się wcale.

Po obiedzie przybyli profesor z Leonem, dzisiaj już wystrzelonym w górę podrostkiem, i Wajwrowicz. Łacniéj przeto było wszelkiego sam-na-sam unikać.

Panna Miłoszyńska, oczewiście, że odrazu tę zmianę w Lucjanie dostrzegła, i nie omieszkała zaraz Felicji poszepnąć.

— Coś zaszło. Nie próżną była ranna rozmowa, gdy wracali z kościoła. A potém jeszcze i długą chwilę w swoim potrzymała go pokoju. Macocha! — wymówiła zjadliwie.

Felicja posmutniała.

O szaréj godzinie zaturkotało od bramy.

— Wujaszek jedzie! — zawołał Leon przez okno, wracając z ogrodu.

Pani Wszemborska pośpiesznie na powitanie męża wybiegła.

— O mój Tytusie, jakżem rada, żeś powrócił! — wymówiła w objęciu jego, kładąc mu głowę na piersi.

Przycisnął ją do siebie i pocałował w czoło.

W téj chwili nadbiegł Lucjan. Pan Wszemborski szczerze młodym ucieszył się gościem.

Wszyscy pospołu weszli do salonu, pospieszyły panienki na powitanie ojca, i guwernantka z uprzejmym uśmiechem podała mu rękę. Za niemi nadeszli profesor i nauczyciel muzyki.

— Jakżeż miewa się mama i Cesia? — zapytała Zofja.

— Zdrowe zupełnie. Całują cię, ściskają serdecznie. I was także — zwrócił się do córek — a dla pani piękne ukłony — dodał, skinąwszy pannie Miłoszyńskiéj. — Były markotne, żeś ze mną nie przyjechała — wymówił znowu do żony — lecz mama obiecała przybyć na długie wieczory, i nie puścimy ich tak prędko.

Guwernantka ust przygryzła.

Pan Wszemborski opowiadał o Warszawie — o podróży swojéj. Rozmowa stała się ogólną i ożywioną do któréj i Leonek niejeden dorzucił koncepcik. Odbiegła więc i chmurka, która od godzin kilku nad towarzystwem Ziemińskiem zawisła.

Dnia drugiego chciał Lucjan odjechać, lecz go zatrzymał pan domu.

— Nie nacieszyłem się jeszcze z tobą — wymówił — i wineneś mi przynajmniéj ze dwa dni poświęcić. Przejedziesz się dziś ze mną po folwarkach, a na jutro zaproszę Gorewicza, Żarlińskiego i zapolujemy.

Pan Lucjan przeto pozostał się jeszcze, ale był wierny danemu słowu.

Wieczorem po polowaniu, towarzystwo zabawiło się wesoło. Lucjan byłby miał częstą sposobność pomówienia z Felicją sam-na-sam, co mu zręcznie panna Miłoszyńska ułatwiała, ale nie korzystał z tego wcale. Rozmawiał z panienką swobodnie, ale żadne już z onych miodowych, ułudnych nie padło tam słówek. I wszystko odbywało się tak pogodnie, że pan Gorewicz żadnéj chmurki na niebie zakochanego nie dostrzegł.

— Jutro odjadę — wymówił Lucjan przysiadając do pani domu, właśnie gdy panna Miłoszyńska z Kazią jakąś na cztery ręce wykonywała sonatę—a głos jego był smutny. Czyliż mogę tu być jeszcze przed wyjazdem do Drezna?

— Chyba na krótko tylko! — odrzekła, smutkiem jego zmiękczona.

— Na godzin kilka. Będę u Gorewicza, i z nim przybędę, A potém... wszakżeż dobra pani obietnicy dotrzyma... pozwolisz pisać do siebie i pisywać będziesz?

— Masz moje słowo! — podała mu rękę, którą do ust przycisnął.

Panna Miłoszyńska z boku tę uważała rozmowę.

Lucjan odjechał. A Felicja posmutniała i mało ze swojego wychodziła pokoju.

— Nic nie powiedział, nie oświadczył się, a już, już co tylko miał to uczynić! — wyrzekła panna Miłoszyńska — zaszła intryga jakaś... Może go chce dla siostry swojéj zachować.

Felicja nic nie mówiła.

Około połowy listopada pojechali państwo Wszemborscy do Podlesia.

W dni kilka potém, zrana panna Miłoszyńska z okna swojego poznała powóz pani Przyłomskiéj przed kościołem.

Zadzwoniono na mszą św. — i zawołała na Kazię, by z nią poszła na nabożeństwo. Felicja miała ból głowy.

W kościele zastały panią Przyłomską, — a po skończonem nabożeństwie, zaprosiła ją panna Miłoszyńska na kawę. Kazię wysłała naprzód, by stosowne po temu wydała rozkazy.

— Więc państwa Wszemborskich niema w domu? — zaczęła sąsiadka.

— Są w Podlesiu.

— Często tam jeżdżą?

— Co miesiąc. Pan Wszemborski zajmuje się gorliwie interesami pani Siemianowskiéj.
— Podobno bardzo szczęśliwie wywindykował majątek?
— Włożył dużo i wielkich dokłada starań.
— Cesia będzie miała posag.
— Pani Wszemborska dla niéj swojéj zrzekła się części.
— Bo wszakżeż ma dosyć — i pani Przyłomska poruszyła niechętnie głową.
— A pani Wszemborska o matce i siostrze pamięta bardzo.
— Wierzę! Ona tak jest dobra.
— Bardzo dobra!
— Cesia ładnie wyrosła. Podoba się bardzo panu Gorewiczowi. Był tam teraz w tych stronach, i widział ją u państwa Dalewskich.
— W Raciążu?—panna Marcella poczerwieniała nagle.
— Była tam z guwernantką swoją. Te panie kochają się bardzo.
— Panna... jakżeż się tam nazywa?... A! panna Lemieszówna potrafi się przypodobać... umie.
— Pochlebia zapewne, nadskakuje.
— Takie osoby zawsze najlepsze mają powodzenie. Wyższość każda cierpi — dodała ciszéj — a nie pełza ten, kto własną zna godność.
— Ale, ale! Pan Lucjan jest znowu u pana Gorewicza.
— Młody Borzywojski? — panna Miłoszyńska pokraśniała.
— Tak. Był z nim w niedzielę u państwa Łanowskich. Bardzo to miły i ładny chłopczyk. Czy nie będzie tu? uśmiechnęła się i mrugnęła oczami.
— Wątpię... To jest kuzyn pani Wszemborskiéj.
— To tém bardziéj. Panna ładny będzie miała posag.
— Tak... Ale nie wiem. Wątpię. Pan Lucjan jest młodzieńcem wykształcenia wyższego, cenię go bardzo z charakteru podniosłego, i życzyłabym go mojéj Felci kochanéj...
— To może i zrobi się co.
Weszły do dworu. W salonie Kazia na nie czekała. Guwernantka zostawiła ją przy gościu, a sama pobiegła, by zdjąć kapelusz i płaszczyk.
— Otóż — wymówiła, wbiegając do pokoju Felicji — pan Lucjan bawi od tygodnia u pana Gorewicza, a nie był w Zieminie.
Felicja spojrzała się ku niéj, a lica jéj były bledziutkie.
— Zkądżeż pani to wiesz?— zapytała.
— Pani Przyłomska widziała ich w niedzielę u państwa Łanowskich.
Młoda dziewczyna pochyliła głowę i czytała daléj. Nie zdołała jednak i jednego wyrazu myślą pochwycić.
— O gdyby dziś przyjechał —wymówiła guwernantka, do swojego wracając gościa.
Dnia drugiego, pod wieczór, państwo Wszemborscy wrócili.
Nazajutrz po obiedzie zebrała się cała rodzina w salonie, gdy czworokonny koczyk zajechał przededwór.
— Gorewicz! — wymówił pan domu i wybiegł.
Felicja pobladła — aż się pochyliła, jakby kwiatek podmuchem nagięty i poczęła jakieś przerzucać ryciny.
Pan domu wprowadził do pokoju, prócz gościa wymienionego, i pana Lucjana.
Młoda dziewczyna nie śmiała wzroku podnieść i ze spuszczonemi odkłoniła się oczami.
— Dawno bawisz u pana Józefa?—zapytał Lucjana jéj ojciec.
— Od tygodnia blisko — odrzekł młody Borzywojski— lecz wiedzieliśmy, że państwa w domu nie było.
Panna Miłoszyńska ust przygryzła z niechęci.
Rozmowa potoczyła się ogólna. Lucjan zwracał ją często do Felicji, ale wszystko było nic nieznaczące. Panna Miłoszyńska ułatwiała mu przystęp — młody jednak nie korzystał z tej jéj względności bynajmniéj.
Po wieczerzy przystąpił Lucjan do pani domu i z cicha wymówił:
— Każdéj wiadomości od dobréj, łaskawéj pani, będę jak zbawienia wyglądał.
— Nie zawiodę cię — uśmiechnęła się Zofja ścisnąwszy mu rękę.
Gdy następnie odjeżdżali panowie, zbliżył się do Felicji.
— Żegnam panią — wymówił — do widzenia się na wiosnę.
— Pan na tak długo wyjeżdżasz? — zagadnęła guwernantka.
— Na całą zimę.
— Do mamy, do Drezna?
— Tak, pani. Polecam się względnéj pamięci! — podał rękę pannie Miłoszyńskiéj. —Panienkom się pokłonił: nie śmiał sięgnąć po rączkę, którą ze szczęsném uczuciem rad byłby do ust przycisnął.
Panowie odjechali. Panny poszły do siebie.
— Nie posiadam się z oburzenia — zawołała panna Marcella — *Il ya quelque chose sous cape!...* Czemuż tu nie przybył w ich nieobecności!
Chodziła po pokoju, rumiana, gniewna, ciągle jakieś robiąc uwagi.
Felicja milczała, potém do zwykłéj uklękła modlitwy, i modliła się długo.

IX.

Nastała jesień — długie wieczory — posępne niebo i słoty.
Pani Zofja starała się gromadzić towarzystwo Ziemińskie przy jedném ognisku, przy jednym stole: zapełniać długie chwile rozmową, muzyką, czytaniem, ależ to nie udawało się wcale. Gdy pan Wszemborski był w domu, przychodziło nieco łatwiéj a łacniéj jeszcze, gdy był gość jaki albo też panowie nauczyciele. Inaczéj, panna Miłoszyńska zwykle posiedziała u siebie. Kazia przy niéj swoje wypracowania robiła a Felicja, dla przyzwoitości, to pobyła w salonie, to znowu chętniéj łączyła się z guwernantką i siostrą. Smutne więc były one samotne wieczory.
Panna Miłoszyńska dostrzegła po pare razy, że w torbie pocztowéj były listy do pani Wszemborskiéj ze znakiem pocztowym *Dresden*: poznała także rękę pana Lucjana. Gdy z tą wiadomością zaraz do Felicji pospieszała, młoda dziewczyna zwykle pobladła, ale i jednego nie wymówiła słówka.

Przed Bożem Narodzeniem zjechała pani Siemianowska z Cesią i panną Lemieszówną, rozweseliły samotność Ziemińskiego salonu. Bo jakkolwiek panna Marcella, nielubiąca koleżanki, wiele w swoim zostawała pokoju i doń odciągała Kazię, to jednak Zofja już samotną nie była. A żywe usposobienie panny Lemieszównéj dodawało zebraniu wesela i wdzięku.
Pan Wajwrowicz w dni swoje, począł obecnie coraz późniéj odjeżdżać, zostawiając przyjacielowi Godlińskiemu

otwarte pole do różnych uwag i żarcików: o magnesie, który go przyciąga i zatrzymuje; o powabnym uśmiechu i haczyku w ciemnem oczku. Wajwrowicz na to wszystko uśmiechał się tylko, a za każdym razem zwykł woźnicy dwuzłotówką późny opłacić powrót. O czem sobie służba wiadomości udzielała, spoglądając ze znaczeniem na guwernantkę podleską.

Panna Miłoszyńska wiedząc to wszystko i patrząc się na wszystko, zaledwo potrafiła być panią swoich uczuć podrażnionych i urażonéj miłości własnéj. Z początku, gdy był nauczyciel muzyki, nie wydalała się i na jedną chwilę z salonu, wynajdując sobie zawsze jakiś ważny powód do pozostania, i starała się brylować rozmową swoją jak się pan Godliński wyrażał. Późniéj jednakże, poznawszy nadaremność usiłowań wszelkich, stała się obojętną i *dedaigneuse comme une princesse* — znowu wyrażenie Godlińskiego— i uchodziła do siebie, mając do napisania jakieś nader ważne listy. (d. c. n.)

Pogadanka tygodniowa.

Warszawa obecnie dwie muchy posiada, człowieka *muchę* chodzącego po suficie z głową ku dołowi zwróconą, i szkice satyryczno humorystyczne przezwane także *Muchą*, panów Kostrzewskiego, Pilatego, Kunickiego i innych.

Mucha choć owad, zbratana z człowiekiem, posiada wszystkie jego wady, z podobieństwem godnem podziwu. Ciekawa, łakoma, uprzykrzona, przytem wielka egoistka i elegantka, wciska się wszędzie do chatki i pałacu, na wieś i do miasta, i według siedziby układa swoją naturę. *Mucha* też pp. Kostrzewskiego i Pilatego z równą łatwością przesuwa się pomiędzy społecznemi warstwami. Z ulicy wpada do kuchni, sypialni, salonu, przebiega wszystkie piętra od dołu aż do poddasza, zagląda na bal, do teatru, a nawet podsłuchuje najtajniejsze rozmowy i ze znanem sobie plotkarstwem roztrębuje je po całym świecie.

Powiadają że szkice te uczczone nazwą *Muchy* mają więcéj satyry jak humoru, że im brak téj lukrowéj przyprawy, zmuszającéj najpoważniejsze twarze do ożywienia się wesołością tak łaknioną i pożądaną przez wszystkich. Zarzut to nie zupełnie słuszny, wprawdzie nie wszystko w *Musze* błyszczy leciuchnym dowcipem, ale żeby módz śmiać się, trzeba koniecznie odpowiedniego usposobienia, które na rozkaz nie przychodzi i najczęściéj bezwiednie opuszcza nas w chwili, najwięcéj wymagającéj jego posługi.

Redagując niegdyś wspólnie z p. Henrykiem Lewestamem Wolne Żarty, o téj prawdzie przekonaliśmy się nieraz z własnego doświadczenia. Przeglądając artykuły przeznaczone do téj publikacji, w sądzie o nich czasami zawahaliśmy się, nie wiedząc jaki wydać wyrok; czy unieśmiertelnienie drukiem, czy wrzucenie do redakcyjnego kosza. Urządziliśmy więc posiedzenia, tak zwane *Bocianiady*, złożone z osób zalecających się wykształceniem, a mających stanowić niejako trybunał opinji publicznéj bez apelacji. Po gawędzie zwykle bardzo ożywionéj, na głos dzwonka, wszyscy z cygarami w ustach zajmowali przeznaczone sobie miejsca i rozpoczynało się czytanie, najprzód artykułów już uznanych za godne druku, a późniéj wątpliwych z pilnem badaniem wrażenia jakie wywołują. Czytanie to często przerywane śmiechem ogólnym, żartami, uwagami, dodatkami a nie rzadko i bardzo zręcznemi poprawkami, nastrajało całe towarzystwo do wesołości i humoru i robiło je bacznem na najdelikatniejsze odcienia dowcipu. Otóż przy czytaniu takiem bywały wypadki, że artykuł uznany poprzednio przez nas za wątpliwy, słuchany był z ogólnem wszystkich zadowoleniem, że nawet my jako redaktorzy, znając go dobrze, odkrywaliśmy w nim przymioty przedtem niedostrzeżone, dziwiąc się jak mogły ujść naszéj baczności. Przyczyny tego należy szukać jedynie w usposobieniu, w jakiem się znajduje każdy w chwili czytania. Jeżeli więc jaka uprzykrzona mucha siedzi w myśli ludzkiéj i brzęczy mu niemiłym tonem minionych i spodziewanych kłopotów, czyż można się dziwić że na *Muchę* ożywioną nawet dowcipem Kostrzewskiego, Pilatego i Kunickiego, cokolwiek krzywo poglądamy?

Pewność także znalezienia w zapowiedzianych szkicach humoru pełnemi garściami, niemało się równie przyczyniło do późniejszego niezadowolenia. Zwykle każda nadzieja jako przesadzona zawodzi, chociaż wina nie w niéj lecz w zbyt wygórowanem żądaniu spoczywa. To samo stało się i z Muchą i dla tego chociaż w każdym szkicu dwóch wyszłych poszytów, nie brak dowcipu i każdy zajmie i rozśmieszy, ale to nie dosyć powiadamy. Myśmy byli pewni, że od śmiechu aż boki będą pękać a tu zaledwie uśmiechnąć się można. Co mi to za Mucha!

A jednak przekonacie się, że Mucha ta pomału wyrośnie, oswoi się, otrzaska, nabierze ferworu, donośnego brzęku, uzbroi się w kolące śpileczki, i dziś obudzając uśmiech pół gębkiem, wywoła z czasem śmiech z całego gardła. Tylko cierpliwości, a przedewszystkiem owego sumiennego ocenienia, co wytykając złe nie zapomina o dobrem. U nas zaś dzieje się z krytyką zupełnie przeciwnie albo milczemy uporczywie, albo rąbiemy na prawo na lewo jak dzieci uzbrojone drewnianym pałasikiem, aby narobić jak najwięcéj wrzawy, krzyku i hałasu.

Tyle o Musze literacko artystycznéj, o *człowieku musze* sam nie wiem co powiedziéć. Przedewszystkiem nie byłem na przedstawieniu, gdyby głową chodził po suficie byłoby pół biedy, ale nogami... W Londynie na podobnym widowisku, sufitowy wędrownik zrobił w podróży jakieś uchybienie, noga obwisła, druga nie dotrzymała i spadł prosto na głowę, z wysokości blisko stu stopowéj, w sieć na szczęście na dole przygotowaną. Skok taki niespodziewany zmięszał biedaka, zbladł jak ściana, ukłonił się i jak drapnął tak się nie pokazał aż w pół roku, znowu uczepiony u sufitu po nad głowami licznie zgromadzonéj publiczności.

Zostawiając znawcom ocenienie użyteczności podobnego widowiska, miałem jeszcze zamiar rozważania artykułu p. Mich. Sławiańskiéj p. t. Słów Kilka o pracy kobiecéj, pomieszczonego w Gazecie Polskiéj w zeszłym tygodniu, ale kwestja to zbyt obszerna, na dodatkowe w pogadance jéj roztrząsnienie.

Zostawiam ją więc na późniéj, bo lękam się, abym rozpocząwszy nie ugrzązł wśród drogi jak lokomotywy na kolei Galicyjskiéj, wyprawiane tak dla oczyszczenia z nasypów śniegowych jak i dla ratunku jedna drugiéj.

Numer 6 Przyjaciela Dzieci zawiera następujące artykuły:— Saint Malo, opis historyczny miasta tego w Bretanji położonego.—Białe róże powiastka opowiedziana z prawdziwego zdarzenia—Meteor ognisty—Bratek p. Liljanę—Krakowiaki dziecinne przez Jana Prusinowskiego—Ptasznik brunatny—Bajki trzy—Stary i Młody—Język i uszy—Człowiek i Osły Fe. Mikorskiego. Rycin pięć mieści się w tym numerze, a mianowicie:

1. Widok Karawany w pustyni—2. Saint Malo—3. Miasto Eger albo Egra w Czechach sławne wodami Egerskiemi—4. Ptasznik pająk amerykański—5. Pyszczek ptasznika przedstawiony w znacznem powiększeniu.

Jaskinie i groty.

Zdarza się często że skutkiem podnoszenia się wielkich łańcuchów gór, wytwarzają się w ich wnętrzu głębokie i kręte jaskinie. W niektórych szczególniéj górach tak wiele jest grot i jaskiń, iż całe ich wnętrze jest jakby jednym ciągiem krętych i bardzo nierównych galerji, nadzwyczaj głębokich, tak iż najodważniejsi ludzie nie śmią zapuszczać się w ten labirynt. I tak komórkowate Alpy Karnioli, pełne przeróżnych grot i przedziałów, zamykają w ich wnętrzach większą może ilość wód niż na powierzchni kraju.

Niektóre z tych prawdziwych rzek podziemnych, zostały już zbadane na kilko-milowéj przestrzeni; znaleziono w nich nawet wiele zwierząt, nie pojawiających się nigdy pod światłem dziennem; do takich należy między innymi *Proteusz*, szczególniejszy rodzaj płazu opatrzony zarazem, płucami i skrzelami, i tak łączący w sobie wszelkie przymioty istoty ziemnowodnéj.

Z pomiędzy licznych, znanych już grot, odznacza się grota Antiparos, wsławiona odwiedzinami Tournefort'a, podczas jego podróży na Wschodzie. Grota ta bynajmniéj nie należy do największych, a wyjście do niéj tak jest ciasne, iż chcąc zwiedzić wnętrze, trzeba spuścić się tam za pomocą drabiny sznurowéj. „Kiedy już spuścimy się na dół, mówi wspomniany wyżéj słynny botanik, trzeba czas jakiś staczać się jeszcze po skałach, już to na grzbiecie już na brzuchu, i dopiero po niesłychanem utrudzeniu dostajemy się nareszcie do téj cudownéj groty.“ Cała objętość groty wynosi 150 sążni długości a 50 szerokości, ale zdobią ją śliczne marmury łamiące się w kolumny podobne pniom drzew, i niezliczone porozwieszane wśród nich stalaktyty, zachwycające oko przybysza. Nieco opodal ukazuje się prześliczny ołtarz, pokryty jakby śnieżnéj białości rzeźbą.

Mała ta grota wsławiona już pobytem Tournefort'a stała się jeszcze głośną skutkiem dziwnéj fantazji jednego z ambasadorów francuzkich przy Porcie Ottomańskiéj, margrabiego de Nointel. Przyszło mu raz do głowy słuchać w niéj mszy pasterskiéj w wigilią Bożego Narodzenia; spuścił się więc do groty w towarzystwie wszystkich członków ambasady, licznéj swéj służby, znajomych, a nawet wielu bardzo zupełnie mu nieznanych osób, kupców i korsarzy. Gdy już weszli do groty, kazał zapalić sto pochodni z żółtego wosku i czterysta lamp które najdoskonaléj całe oświetliły wnętrze. W chwili ofiarowania św. Ofiary puszczono race, i w tejże chwili dał się słyszeć huk dział ustawionych przy wejściu i głośny dźwięk licznych dzwonów. Po ukończeniu Mszy św. margrabia de Nointel pozostał do rana w swéj ulubionéj grocie.

Jaskinia Mammouth, leżąca w Stanach Zjednoczonych nie zawdzięcza swéj sławy odwiedzinom znakomitych osób, ale nadzwyczajnéj wielkości swojéj, przewyższającéj wszystkie niemal znane dotąd groty.

Dotychczas nikt jeszcze nie odważył się badać jéj wnętrze głębiéj nad dwanaście mil francuzkich. Wejście jest bardzo wązkie i nizkie, ale po kilku minutach drogi w podziemnym wąwozie, który pochodniami oświetlać trzeba, widownia zmienia się nagle i najwspanialszy, najróżnorodniejszy krajobraz przedstawia się zachwyconym oczom podróżnika. Tu pojawiają się czarowne sale ze stalaktytu zdobne cudnemi kolumnami, łamiącemi się w rozliczne kształty, i fantastycznemi posągami udrapowanemi w kryształowe płaszcze; tam znów wznoszą się jakby wspaniałe kościoły wystawione z kosztownych najróżnorodniejszemi barwy błyszczących kamieni, który blask i ogień zarazem zachwyca i razi.

W tym podziemnym labiryncie, każdy zakątek ma swoją nazwę i swoją historję. I tak jeden nazywa się *Salonem duchów* z powodu, że kiedyś zalegały go niezliczone szkielety Indjan, pochodzące zapewne od plemion zamieszkujących niegdyś tę okolicę Ameryki. W innem znów miejscu dziwnie przejmujące ogarnia wrażenie, na widok *Kopuły Olbrzyma*, któréj niezmierzoność wprawia w osłupienie. Kopuła ta pogrążona jest w tak strasznéj ciemności, że pomimo wielkich ogni jakie tu zapalają przewodnicy, zwiedzający nie mogą dostrzedz kopuły, wznoszącéj się o 130 metrów po nad ich głowami.

W pewnéj głębokości, Styx toczy zwolna swe milczące wody pod ciemnemi sklepieniami, najeżonemi niezliczonemi skałami. W téj podziemnéj rzece po któréj płynie się łódką, przebywa szczególniejsza ryba zwana Cyprynodon, o któréj przewoźnicy mówią że jest zupełnie ślepa, co nie jest niepodobnem, bo na cóż zresztą przydałyby się jéj oczy w pośród tych fal, w których nieprzenikniona panuje ciemność.

Zagłębiając się nieco daléj w tę olbrzymią grotę pełną rzek, katarakt i jezior podziemnych, zdumiony wędrowiec postrzega nagle ogromną przestrzeń wody, po któréj zwolna przesuwają się łodzie z pochodniami, których światło rozpraszając się w ciemnéj oddali, nie oświetla wybrzeży ani wzgórz otaczających. Straszna ta i nieruchoma przestrzeń wody, nazywa się *Morzem Martwem*.

Prócz tego w téj grocie Mammutha napotyka się kręte, jakby bezdenne otchłanie. Przewodnik rzuca w nie przygotowane w tym celu małe pochodnie lub zapalone głownie, te długo bardzo lecą gdzieś wirując aż nareszcie z wielkiem zadziwieniem zwiedzających, gasną nagle nie doleciawszy do dna.

Dziś jednak jaskinie i pieczary małych bardzo rozmiarów więcéj daleko zwracają na siebie uwagę naturalistów, niźli olbrzymie groty; chcemy tu mówić o pieczarach pełnych kości zwierząt mięsożernych, a głównie niedźwiedzi i hyen, które o ile się zdaje w niezbyt odległych od nas żyły czasach, a niepodobna wyjaśnić stanowczo jakim sposobem mogły tak licznie nagromadzić się w podobnych miejscach. Najprawdopodobniéj zostały naniesione prądem wód. Czasami znajdujemy wśród nich ślady przemysłów najstarożytniejszych pokoleń, a nawet i kilka czaszek ludzkich.

Trudności napotykane przy zwiedzaniu i rozpatrywaniu grot i kopalni, dzikie puszcze w których znajdują się otwory i wejścia do tych bezmiernych otchłani, oraz gruba ciemnota okolicznych mieszkańców, ukrywały zawsze przed nami znaczną część skarbów rozsianych w łonie ziemi. Z drugiéj znów strony, owe gazy palne tak straszne spustoszenia szerzące w kopalniach, owe zalotne wyziewy natychmiastowe zabijające człowieka i gaszące pochodnie, przejmowały trwogą i przerażeniem, zamyślających zwiedzać straszne otchłanie gór, i pozbawiały nas skarbów mineralnych kryjących się w łonie ziemi. Kruszce i minerały rozpościerają się głównie w okolicach będących niegdyś widownią strasznych wstrząśnień, a zabobonna ciemnota osnuwała na tem tle najdziwaczniejsze legendy. Już to rozpowiadano, że wszystkich kopalni pilnowały ogromne smoki, strzegące zazdrośnie wszechwładztwa swego w tych państwach ciemności i ich to potędze przypisywano okropne nieszczęścia spotykające górników, daléj jeszcze twierdzono że podczas wybuchu gazu węglowego, widziano owe smoki, jak w postaci koni z płomieniejącą grzywą, przelatywały przez ogień i zgliszcza.

Podobne zabobony długo bardzo panowały wszechwładnie we wszystkich okręgach górniczych, zamieszkanych przez ludność w strasznéj pogrążoną ciemnocie, ale trudniéj pojąć że długi czas podzielały je poważniejsze nawet umysły. I tak czcigodny Agrikola, ojciec mineralogji, uwierzywszy opowieści robotników, w słynnem dziele swojem opisuje owe duchy tak drobiazgowo jak gdyby im się przypatrzył do woli. Powoli jednak nauka i oświata zabiły zabobonne przesądy, które dziś istnieją jeszcze tylko w najciemniejszym gminie.

J. B.

O UBIORACH.

Będąc w tych dniach w magazynie pana Penkali widzieliśmy kilka pięknych sukien, tak do większego stroju jak też do codziennego ubrania. Jedne i drugie odznaczały się prawdziwie dobrym gustem, zasługują więc na szczegółowy opis.

Powiemy naprzód o ślicznéj sukni ślubnéj białéj illuzjowéj. Przód miała cały przepinany w poprzeczne buffy, rulonikami z białego atłasu. Tył powłóczysty naszyty był w podłuż wstążką atłasową w odstępach. Pod spód szła spódniczka atłasowa. Stanik wycięty miał bertę w ząb, przepinaną rulonikami. Szarfa spadała na tył sukni.

Inna suknia jedwabna, składała się z dwóch spódniczek; pierwsza z nich pekinowa czarna w pasy atłasowe, sięgała tylko do ziemi. Na to szła druga spódnica z gładkiéj materji czarnéj roztwarta zupełnie po bokach. Tylne bryty znacznie przedłużone i powłóczyste, objęte były u dołu plisą atłasową czarną, przeciągniętą z obu stron aż do stanu, przedni bryt krótki i wązki, tworzył osobny fartuszek zakończony w ząb, objęty w koło plisą, u dołu zaś frendzlą jedwabną. W odstępach pomiędzy tym fartuszkiem a tylnemi brytami, dana była trzy razy pletnia, tworząca trzy nadpowietrzne zęby, przepięte w środku czarnym kwaścikiem. Stanik był także podwójny: jeden pekinowy w pasy pod szyję, spięty na guziki, naszyty pletnią w ukośną drabinkę; drugi na wierzch gładki jedwabny, bardzo niski, w kształcie gorsecika z długiemi ramiączkami. Rękawy wązkie pekinowe, wcięte były w głęboki ząb u ręki. Na tem wcięciu podłożony był atłas, przepięty dwa razy pletnią. Szeroka szarfa z frendzlą dopełniała ozdoby.

Trzecia suknia także czarna; z ciężkiéj materji Lyońskiéj, krajana w kliny, bez zmarszczek, miała na każdym zszyciu brytów, naszyte gałązki koralowe, wąziuchną pliską czarną, w połowie aksamitną, w połowie atłasową. Na każdym zaś brycie u dołu sukni naszyty był bukiet z wielkich bratków aksamitnych i atłasowych. Przez owe bratki przechodziły żyłki oznaczone jedwabiem żółtym. Takich bukietów szło siedm do koła spódnicy. Mniejsze cokolwiek bratki zdobiły epolet i mankiet u rękawa. Szarfa zakończona bratkami, odpowiadała całości.

Zasługuje także na opis piękny szlafrok negliżowy (Robe Turque) z kaszmiru ciemno niebieskiego, w formie Gabrjeli, ubierany cały plisami niebieskiem z wypustką atłasową koloru złota, spięty od góry do ziemi na guziki i pętelki z pasmanterji. Rękawy wązkie przybrane były u ręki stosownemi pliskami, szarfa spinała się z boku na wielką rozetę niebieską, objętą żółtym rulonikiem.

Oprócz tego uważaliśmy ładne kostiumy z cienkiego sukienka przeznaczone do wyjścia na ulicę. Jeden z nich kuloru ciemno-szafirowego *bleu marin* miał dwie spódniczki, jedną zupełnie gładką, wierzchnią zaś lekko podniesioną w górę w trzech miejscach, i ujętą w wielkie koło z pasmanterji. Paletocik z tyłu krótszy z przodu przedłużony, obszyty był czarną kręconą frendzlą. Takaż frendzla zakończała wierzchnią spódniczkę. Rękawy zwyczajne, u ręki tylko cokolwiek były rozszerzone.

Inny znów kostium z szerży angielskiéj koloru brązowego składał się z dwóch spódniczek, jednéj gładkiéj drugiéj naszywanéj fantastycznie jedwabnemi pliskami. Paletocik do stanu spięty na bok, miał oba przody zaokrąglone. Zwierzchu przepasywała go szarfa, związana w tyle na kokardę.

Zwróciły także naszą uwagę śliczne staniki i kanzuty, przeznaczone na teatr lub na wieczór. Opiszemy je szczegółowo.

Kanzut pod szyję z tiulu jedwabnego — zwany *Marie Antoinette*, objęty blondyną miał brzeg naszyty w drabinkę rulonikiem zielonym atłasowym. Dwie krótkie szarfy zakończone blondynką — całe naszyte rulonikiem w drabinkę spadały na przód, dwie takież same ale znacznie dłuższe spadały na tył sukni.

Drugi stanik z tiulu jedwabnego w muszki wykrojony czworograniasto, z szerokiemi rękawami, przybrany był wstawką blondynową na różowem podwleczeniu, i wązką blondynką u brzegu. Z tyłu spadały długie końce odpowiednio przybrane.

Trzeci stanik do gorsu muślinowy, układany w zakłady, obszyty był u gorsu wstawką walansienkową. Z przodu szły na krzyż dwie szerokie plisy białe, podwleczone różowem, plisy te dochodząc do tyłu tworzyły długie spadające końce, przyciśnięte wielką kokardą różową atłasową. Krótkie bufowane rękawki, ujęte były wstawką z walansienki.

Pojawiły się także krynoliny nowego rodzaju, z przodu zupełnie płaskie, od boków naszyte stalkami. Maszynka umieszczona w środku, zwęża lub odrzuca krynolinę według woli.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego.

N. 20—23. Futeralik na szczotkę do czyszczenia sukien.

(Dalszy ciąg).

N. 21 i 22 wskazują dwa rozmaite desenie na wyszycie futeralika, można je podług upodobania wyszyć obadwa razem, albo każden z osobna. Na wyrysowane kwadraty, bierze się jednego lub drugiego gatunku tasiemka, i wyszywa się nią kwadraty, uzupełniając deseń włóczką angielską w dwóch kolorach. Można także poprzestać na odrobieniu jednego tylko wzoru. Obadwa boki, ozdobione podług ryciny N. 20. Każden 17 cent. długi, a 5 cen. szeroki, przyfastrzygowywa się po dopełnieniu wyszycia na perkalowéj podszewce, zakłada do środka, żeby nie pozostawały strzępki i wszywa do głównéj części futeralika. Najlepiej wszywać bok, zaczynając od prostego końca futeralika, nieściętego w ząb; kawałek paska zbywający, formować będzie przy drugim końcu klapkę śpiczastą. Szwy wszystkie i brzeg klapki na około, oszywa się pąsowym sznurem, z którego na zębie robi się pętelka, do zakładania na guzik, w odpowiedniem miejscu, na futeraliku przyszyty. Na obydwóch rogach przy początku klapki, przyszywają się dwa końce mniéj więcéj 16 cent. długiego pąsowego sznura, związanego na kokardę, lub mocny supeł, służący do zawieszenia na gwoździu.

N. 24. Rozeta z plecionki „mignardisse“.

Na łatwą i szybką robotę kwadratu przedstawionego pod N. 24, przerysowywa się linje bardzo wyraźnie odznaczającego się sutaszu „mignardise“ na sztywny papier, na którym się sutasz naszywa. Połączenie pojedynczych sutaszów robi się z cienkich nici, w rodzaju znanych pajączków; kwadrat ten służyć może jako ozdoba do krawatów i bielizny.

N. 25—26. Serweta z cienkiego płótna wyciągana w deseń.

Materjał: Białe cieniutkie płótno; konopie nici N. 100, płaska przędza.

Zręczność i umiejętność dozwalająca z prostych materjałów nawet zrobić coś wdzięcznego i delikatnego, podała nam myśl przedstawienia podobnéj serwety. Model nasz, razem z frendzlą, zrobiony jest z kawałka cienkiego płótna 50 cent. w kwadrat liczącym. N. 26 daje wyobrażenie roboty w naturalnéj wielkości, tak jasne, że niewiele pozostaje nam do powiedzenia o dalszym ciągu wyciągania nitek.

Zanim zacznie się wyciągać nitki dla zrobienia przezroczystego szlaku, trzeba na każdym z czterech rogów, gdzie nitki krzyżując się po wyciąganiu zrobiłyby wielką dziurę, kwadrat $3^1/_2$ cent. liczący, mocno w około bawełną obdziergać. Kwadrat taki, przedziela się wyciągnięciem dwóch krzyżujących się nitek, podług rysunku N. 25 w zmniejszonym formacie przedstawiającego serwetę na 4 małe kwadraciki, ozdabiając każdy małym kwiatkiem, jakie wyraźnie widać na N. 26 we właściwym rozmiarze. Pozostałe pojedyncze nitki, przezroczystego szerokiego szlaku, urządzają się w desenik cienkiemi nićmi po lewéj stronie serwety, nitki wyciągane obcinają się porządnie po stronach obdzierganych kwadratów. Następnie wyciągać trzeba pojedyncze nitki na trzy wązkie szlaczki i równoległe pasy przez środek serwety idące. Potém wyciągać nici przedzielające ją na kwadraty, obdziergawszy poprzednio bardzo mocno miejsca, gdzie się nitki kończą i wypada pierwszy wązki szlaczek.

Podług wskazówek ryciny, odrabia się następnie płaską przędzą desenik, na mijanych kwadratach, i takież krzyżyki zdobiące matowe paski, wypadające między przezroczystemi. Od rogu ostatniego takiego pasa, załamuje się mocno płótno, obwodzi w około szczególniéj na rogach gdzie się krzyżują nitki, i wyciąga długą na $3^1/_2$ cent. frendzlę, obcinając starannie podłużnie wyciągane nitki przy obwodzeniu. Inaczéj frendzla niebyłaby pełna, a na rogach wypadłyby dziury.

N. 27. Krawatka przybrana frywolitkami i paciorkami.

Przedstawiony garnirunek ozdabia róg 90 cent. długiego krawacika z szafirowego aksamitu, którego pięknie ubiera karbowana jedwabna frendzla, przyczepiona do dolnych oczek. Szlaczek naokoło idący złożony jest z frywolitek z dwóch nitek odrobionych z białego jedwabiu, dodając woskową perełkę, po 4 pod. słupkach. Perełki poprzednio nawlekają się na nitkę na lewéj ręce trzymaną, która formuje węzełki, i dopiero spuszcza się perełkę po każdych 4 słupkach. Każden koniec, na 8—10 cent. wysoko ozdabia się garnirunkiem, dodając na aksamitce małą złotą perełkę, 1 woskową i znów 1 złotą, jak rycina wskazuje. Do przyczepienia frendzli służą, 4 ząbki z frywolitów, pikotami z sobą zczepione, każdy złożony z 12 pod. węzełków, z 3 pikotami po brzegach, po każdych 3 węzełkach umieszczonemi. Ząbki odrobione są z białego kordonku. Na frendzlę, rozkręca się kordonek i urządza w rodzaju małego kwaścika. Można na to użyć nitki pozostające zawsze przy robocie frywolitek; zastrzega się jednak żeby nienawijać kordonku na kartę ale na rolkę, żeby się nie załamywał i niewyciągał.

N. 28—30. Trzy kapelusze dla dzieci.

Kapelusz lewy u góry *Watteau* zwany przeznaczony jest dla małych dziewczynek. Robią go powszechnie z brązowego filcu, ubrany na rondku atłasową pletnią, i taką rozetą; na prawéj stronie wypadające ubranie z kokard atłasowych, przepina środkiem złoty kwiat w guście gwiazdy. Na prawéj stronie u góry znajduje się kapelusz „Franklin“ dla małych dziewczynek, z popielatego filcu, otoczony w około złotemi piórkami bażanta, i rozetą z aksamitki czarnéj. Trzeci kapelusz okrągły dla chłopców skórzanny, opasany aksamitką i sprzączką odpowiedniego koloru. Takież kapelusze ozdobniejszego fasonu, noszone są również przez dziewczynki, a nawet przez dorosłe osoby.

N. 31—32. Berta z szarfami do balowych sukien.

Dla łatwiejszego odróżnienia berty, suknię przedstawiliśmy w ciemniejszym kolorze; właściwie zawsze najstrojniéj wygląda ten rodzaj ubrania, jeżeli berta do ciemniejszych jedwabnych sukien jest zrobiona z czarnego, do jasnych jedwabnych lub lekkich, z białego tiulu. Jak widzimy, ułożona w nieznacznie drapujące się fałdki, przechodzi przez obadwa ramiona, i tak z przodu jak z tyłu schodzi się przy pasku stanika, i zakończa krótkiemi w około koronką oszytemi szarfami, na spódnicę spadającemi. Na ramionach, jak również na skrzyżowaniach szarf, dają się kokardy, lub rozetki ze wstążki, albo bukieciki kwiatów. Choć najświeższa moda zaleca spadające szarfy tak z przodu jak z tyłu, bardzo dobrze wydaje się, dla osób małego zwłaszcza wzrostu, jeżeli jedne końce z tyłu długie spływają, a przednie o wiele są krótsze, albo co jeszcze ładniej, kiedy się zupełnie odrzuca końce z przodu a tylne za to dane są długie, za połowę sukni spadające.

N. 33. Krawatkowy kołnierzyk.

Na ten strojny kołnierzyk, bierze się prostą listewkę muślinową 1 i pół cent. szeroką na końcach zaokrągloną, zakłada się ją wązko u góry, przytwierdzając ten obrąbek przyszyciem 1 cent. szerokiej koronki. Dolny brzeg listewki obejmuje się w pasek muślinowy 1 i pół cent. szeroki, uważając żeby z przodów listewka zaokrąglona rozchodziła się na cały cent. Wstążeczka kolorowa 1 cent. szeroka, tnie się na pukielki 2 cent. długie, przyszywając je w ukośnem położeniu jeden koło drugiego na muślinowem obrębku, gdzie się zaczyna koronka, co bliżéj rycina objaśnia.

Modelik nasz liczy 18 takich pukielków, które równo skośno idą i wśrodku z tyłu zakładają się na siebie. Gładka wstążeczka, w całości 86 cent. długa, któréj po obu stronach idące 26 cent. długie końce, później się na kokardkę związują, przykrywa przyszycie pukielków, ozdobione podług ryciny małemi wycinanemi z haftu kwiatkami. Składają się one z małego kółka otoczonego 12 atłaskowemi listkami, naśladującemi margerytki. Na ten cel służyć mogą także inne haftowane kwiatki, ze staréj nawet roboty wycięte.

N. 34. Suknia „à la Clarisse.“

Bardzo modne i ładne urządzenie sukni, jakie noszą wytworne paryzkie elegantki w domu lub na wizyty, zawsze prawie zrobione jest z czarnéj lub ciemnéj materji, ubie-

ranéj atłasem odpowiedniego koloru. Podczas kiedy przedni bryt, ozdobiony garnirunkiem gładko, w rodzaju fartuszka, dlugie tylne bryty podtrzymywane są dwoma pasami atłasowemi każden 6—8 cent. szerokości mającemi, które suknię układają w dwie ozdobne buffy, wypadającemi na jednéj trzeciéj części całéj długości sukni i dwóch trzecich; pasy przyczepiają się do przedniego bryta. Garnirunek przedniego bryta składa się z jedwabnych listw, z atłasowemi wypustkami i małemi listeczkami z atłasu na dolnéj listewce. Gładki stanik pod szyję, zapięty na atłasowe guziki, ubierają również atłasowe ruloniki.

N. 35. Paletot „Van-Dyck.“

Po luźnych paletotach, pojawił się najświeższego kroju, paletot do figury, z szarfą na boku. Na najbardziéj eleganckie odwiedziny używany jest ten paletot, z czarnego aksamitu; przystrojony u wykroju szyi, na rękawach i kieszonkach listwami z ciężkiego atłasu, użytego również na szeroką szarfę, piękną frendzlą ozdobioną, co razem bogato przy aksamicie odbija. Do takich paletotów noszą również krótkie suknie, jak z długiemi trenami.

Spis przedmiotów zawartych w Dodatku arkuszowym.

N. 1 do 5. Ubrania lalek z wystawy Paryzkiéj. (Les merveilleuse). —N. 6 do 10. Toalety wieczorowe. —N. 11. Kamień do przypinania roboty. — N. 12. Deseń do pokrycia kamienia do N. 11. —N. 13. Koronka szydełkowa. — N. 14. Szachownica. — N. 15 i 16. Deseń do szachownicy.—N. 17. Deseń na pantofle.—N. 18. Koniec krawatki muślinowéj z szydełkową rozetą. — N. 19. Łańcuszek do nożyczek. — N. 20. Deseń na futeralik do chowania szczoteczki (wzór fig. 23). — N. 21 i 22 Deseń na rozetę do futeralika (wzór fig. 23).—N. 23. Futeralik na szczotkę do czyszczenia sukien. — N. 24. Rozeta z plecionki „mignardise“.— N. 25. Serwetka z cienkiego płótna wyciągana w deseń.—N 26. Wyciąganie nitek do serwetki płóciennéj.—N. 27. Krawatka przybrana frywolitkami i paciorkami. — N. 28 do 30. Trzy kapelusze dla dzieci.—N. 31 i 32. Berta z szarfami do wieczorowych i balowych sukien. — N. 33. Krawatkowy kołnierzyk. — N. 34. Suknia „à la Clarisse“.—N. 35. Paletot „Van-Dyck“,

---

UPRAWA TRUFLI.

Jeden z gospodarzy francuzkich, zważywszy znakomite korzyści jakie handel z trufli otrzymuje, padł na myśl uprawy sztucznéj. W tym celu badający doszedł, że najprzyjaźniejsze dla nich są lasy dębowe, grunt wapnisty nieco glinkowaty, wystawa południowa, niewielkie podniesienie gruntu, że przy obcięciu gałęzi u dębów produkcja trufli ustaje i wraca dopiero w tenczas, gdy nowe dębowe pręty dojdą do pewnego rozrostu, że po ścięciu drzewa lub wykopaniu go, trufle przestają się zupełnie rodzić: że wreszcie znajdują się zawsze blizko korzeni dębu, a często nawet na nich wyrastają. Otóż zważywszy to wszystko, zebrał żołądź z tych drzew przy których rodziły się trufle, i zasiał je rzędami idącemi od południa ku północy dosyć gęsto, zostawiając ustępy wolne między rzędami na 7 do 8 metrów. Kiedy powschodzone roślinki zaczęły wysuwać się w górę okazało się że stały za gęsto, przerzedził je więc starannie żeby pozostałych nie osłabić. Po upływie sześciu lat pomiędzy grzędami zjawiło się mnóstwo trufli tak że w ciągu czterech lat zebrano ich z przestrzeni obejmującéj cztery hektary (przeszło siedem m.) około 40 centnarów wartości 18,191 franków. Pół przeto dziesiatyny albo morgi np. rocznie wydało dochodu fr. 625 czyli rubli przeszło 180.

Korespondencja.

Pani M. Ł. z Chersonu Gramatyka przez Księdza Adama Krasińskiego zupełnie wyczerpnięta.—Pani Marji Le. Gorseciki dla dzieci rok mających, znajdują się w magazynie u pani Bernhardt przy ulicy Miodowéj N. 484. Cena ich od 2 do 3 rubli. Paski dla mniejszych dzieci dostać można po rs. 1.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego Nru. Tygodnika Mód dołącza się Spis i Cennik nasion na r. b. z domu *Handlowo-Komissowego I. G. Berlińskiego* przy ulicy Rymarskiéj. — Oraz dodatek arkuszowy z drzeworytami.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.